Nr. 6. Warszawa, d. 16 Marca 1907 r. R. IX.

ŁOWIEC POLSKI

Kantor Redakcyi „Łowca Polskiego: Ś-to Krzyzka 36 w Warszawie.
(Listy do Redakcyi „Łowca Polskiego" adresować należy: Smolna 40.)

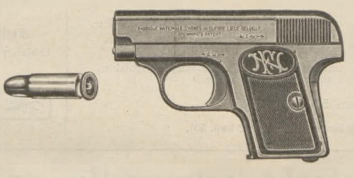


WARSZAWSKA SPÓŁKA MYŚLIWSKA

dawniej B. RONCZEWSKI

WARSZAWA Królewska Nr. 17. — **Telefon Nr. 1917.**

Klisza, poniżej zamieszczona, przedstawia **W POŁOWIE NATURALNEJ WIELKOSCI** najświeższą nowość w dziedzinie broni, **ZMNIEJSZONYCH ROZMIARÓW** oryginalny **PISTOLET BROWNINGA**, o którego zaletach, powszechnie dzisiaj znanych mówić zbyteczna. Jedyne, co zarzucić było można dużemu pistoletowi Browninga, mającemu służyć dla bezpieczeństwa osobistego, była jego waga, sięgająca prawie dwóch funtów, i wielkość przesadzona dla kieszeni. Nowy **MAŁY** pistolet automatyczny Browninga, pomimo że jest na ładunki sporego kalibru 6,35 $^m|_m$ (rysunek naboju naturalnej wielkości), zaledwie w przybliżeniu o milimetr ustępujące ładunkom dużego Browninga, usuwa ostatecznie zarzut dużej wagi i nadmiernej wielkości, waży bowiem wszystkiego nieco więcej nad $^3/_4$ funta, a rozmiarami nie przewyższa kieszonki od kamizelki, w której się doskonale mieści i skrywa, bo jest zupełnie płaski. Pomimo jednak małych



rozmiarów jest to broń poważna, która na odległości 10 metrów przebija deskę grubości 6 centymetrów, zaś na 100-metrowym dystansie deskę 4-o centymetrową. Przy tej dużej penetracyi nowy ten pistolet, jak wszystkie bronie automatyczne wogóle, a Browningi w szczególe, odznacza się niezwykle centrowym strzałem. W końcu zaznaczyć wypada, większe bezpieczeństwo tego pistoletu, niż każdego innego, dzięki dowcipnie urządzonemu zabezpiecznikowi w tyle rączki. Sam zabezpiecznik jest automatyczny, stale broń zabezpieczający, tak, że przez samo naciśnięcie cyngla broń nie wypali. Dla dania strzału trzeba jednoczesnego naciśnięcia zabezpiecznika dłonią i cyngla palcem tejże ręki, co nie zmienia sposobu strzelania, jak z każdego pistoletu, czy rewolweru, a wyklucza raz na zawsze możliwość zapomnienia zabezpieczenia broni w kieszeni lub t. p. wypadek, słowem pistolet jest zawsze gotowy do strzału.

ŁOWIEC POLSKI

Dwutygodnik ilustrowany, poświęcony myślistwu, broni i hodowli psów myśliwskich.

Organ Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa prawidłowego myślistwa.

Ogólnego zbioru Nr. 192.

Nr. 6. Warszawa, d. 16 marca 1907 r. Rok IX.

Warunki prenumeraty i ogłoszeń na końcu tekstu.



SŁONKI.

Przegląd krajowych ssaków łownych.

(Ciąg dalsey).

Daniel (Cervus dama lub *Dama platyceros).* Znacznie mniejszy od jelenia, ale większy od sarny, daniel odróżnia się szczególnie swymi charakterystycznymi rogami, w których górne wyrostki są jakby spojone w jedną, szeroką łopatę, posiadającą na brzegu zazębienie, jako ślady pojedyńczych odnóg. Nadto rogi posiadają, jak i u jelenia, wyrostek nadoczny i wyrostek środkowy.

Ubarwienie daniela bywa bardzo rozmaite, co bez wątpienia przypisać należy jego połowicznemu udomowieniu, gdyż dzisiaj zwierz ten prawie tylko wyłącznie w parkach trzymanym bywa. Ta jego zależność od człowieka sprowadzić musiała częściowe zwyrodnienie, którego bezpośrednim objawem jest melanizm lub albinizm. W normalnem ubarwieniu daniel jest koloru brunatno-szarego, ciemniejszy na wierzchu ciała, aniżeli na bokach i od spodu. Środkiem krzyża biegnie przez całą długość ciała ciemna pręga, wzdłuż której po obu stronach widzimy seryę jasnych, podłużnych plamek. Jaśniejsze to upstrzenie widać też, chociaż mniej wyraźnie, i na bokach ciała. Całe czoło jest bardzo ciemne, czarniawe. Spód, pachwiny i część tylna szynek jest prawie czysto biała, tylko na tych ostatnich spuszczają się od kupra czarne, wązkie smużki. Ogon jest wązko po wierzchu czarny, zresztą po bokach i od spodu — czysto biały. Długość starego samca wynosi około 1 metra 65 cent., wysokość — około metra.

Oprócz powyższego, normalnego ubarwienia, spotykamy często osobniki białe, lub też czarne, a pomiędzy nimi widzi się całą seryę ubarwień pośrednich. Dodam tylko, że daniele nigdy nie bywają całkowicie czarne, a tylko mają wierzch głowy i krzyże—czarne, a boki ciemno-szare. Z daleka wyglądają one jednak kompletnie czarne.

Według zdania uczonych przyrodników, ojczyzną daniela były niegdyś pobrzeża morza Śródziemnego; Brehm jednak przypuszcza, że zwierz ten trzymał się w Europie środkowej jeszcze w czasach przedhistorycznych, gdyż w starożytnych grobach pomiędzy Schliebenem a Wittembergiem spotyka się liczne kości daniela. Ekkard, zakonnik z Saint-Gall, wspomina już w r. 1000 o danielu, jako o zwierzynie łownej. Starożytni pisarze greccy i rzymscy wspominają też często o nim. Aristoteles nazywa go *prox*, a Pliniusz — *platyceros*.

Nie mam danych, kiedy się daniel u nas pojawił po raz pierwszy, gdyż nie przypuszczam, aby kiedykolwiek zamieszkiwał on kraj nasz w stanie dzikim, ponieważ na to nie mamy żadnych śladów paleontologicznych. Bobiatyński w swej „Nauce łowiectwa“ (Wilno, 1825) wspomina, że „dawniej w lasach litewskich daniele licznie się płodziły, a teraz w zwierzyńcach tylko się trzymają“, nie wiadomo jednak, na czem to swoje twierdzenie funduje. Bardzo być może, iż daniel już w dawniejszych czasach był przez królów polskich lub magnatów do kraju naszego sprowadzony, wątpliwą jest wszelako rzeczą, aby kiedykolwiek trzymał się u nas na dziko. Przytoczony przed chwilą autor, wspomina jeszcze: „W dobrach podolskich J. O. książęcia Adama Czartoryskiego widziałem w zwierzyńcu chowane daniele, które wszystkie, dotąd przezemnie widziane, przechodziły wielkością swą; szczególniej (rosochy) rogi 6-letniego daniela równały się w grubości 5-letniemu łosiowi. Prawda, że daniele te latem i w jesieni, oprócz śliwek i jabłek nic nie jadały, a nadewszystko przenosząc te frukta, same stanąwszy na tylnych nogach, założonemi rogami na gałąź otrząsać umiały“.

Powyższy ustęp jest dla mnie najdawniejszym dokumentem znajdowania się w kraju naszym danieli, chociaż nie wątpię, że zwierzęta te już w XVIII-ym wieku, a przypuszczalnie i znacznie dawniej były do nas sprowadzone. Prawdopodobnie kwestya ta zostanie w przyszłości wyświetloną, a tymczasem zajmę się przeglądem istniejących u nas dawniej lub i teraz jeszcze zwierzyńców, w których daniele były lub są hodowane.

ŚWIĘTY HUBERT.

(Ciąg dalsey).

VI. O cudach św. Huberta.

We wspomnianej w poprzednim rozdziale książce *„Vita St. Huberti“* opisano 4 cudy, dokonane przez świętego Huberta, a mianowicie:

1. Uleczenie kobiety, która pracowała w niedzielę, wskutek czego wszystkie palce obu rąk zesztywniały jej i nie mogła nimi wcale poruszać.

2. Wysłuchanie modlitwy o deszcz podczas nadzwyczajnej suszy, która już doprowadziła do wysychania rzek.

3. Wysłuchanie modlitwy o ocalenie braciszka klasztornego, któremu groziło niebezpieczeństwo utonięcia.

4. Wysłuchanie modlitwy o ugaszenie buchających płomieni, które ogarnęły dom Boży.

O spotkaniu się św. Huberta z jeleniem, który miał krzyż między rogami, pisze także dr. theol., ojciec Roberti, jezuita, w swem dziełku, wydanem w r. 1621, p. t. *„Historia St. Huberti“*.

W książce tej znajduje się następujący opis legendy cudownej:

Niejaki Jammenoldus był łowczym książęcym w dobrach, sąsiadujących z klasztorem św. Huberta. Już kilka razy urządzał polowanie w sąsiednich kniejach, a zawsze bezskutecznie, nie mogąc zdobyć ani jednej sztuki. Umówił się więc ze swoimi towarzyszami łowów, że następne polowanie urządzone będzie pod egidą świętego biskupa Huberta i że pierwsza sztuka ubita stanowić będzie wotum na rzecz klasztoru. Wyruszyli tedy w dniu oznaczonym ze sforą gończych i niespodzianie natrafili na odyńca niezwykle dużego. Ten, po długiem okładaniu w różnych kierunkach, nagle przystanął i zatrzymał się w pobliżu klasztoru, nie ruszając się z miejsca, jakby się poddał dobrowolnie. Łowczy razem z towarzyszami podszedł do odyńca. Podziwiając zdaleka jego kształty olbrzymie, postanowił w myśli po ubiciu odyńca ofiarować go księciu, dla klasztoru zaś, jako wotum św. Huberta, oddać następnego dzika mniejszego, jakiego tylko napotka. Wówczas odyniec jakby odgadując myśl łowczego, rzucił się nagle do ucieczki i zniknął zupełnie, mimo że psy szukały go wszędzie. Łowczy strasznie się zmartwił, żałując poniewczasie swej myśli zdrożnej niedotrzymania słowa.

Obszerny opis życia św. Huberta znajduje się w wydawnictwie Towarzystwa Jezuickiego, które od r. 1643 do 1794 wydało w Brukselli 53 tomy *„Acta Sanctorum“*. Według tego opisu, klasztor w Ardenach, nazwany potem imieniem św. Huberta, stanął na miejscu, gdzie dawniej była świątynia pogańska, poświęcona Dyanie, bogini myślistwa. Już starożytni Rzymianie znali *„Diana Arduenna“*. Za czasów św. Huberta w Ardenach pełno było gniazd gallijskiego

Do najstarszych u nas i najdłużej istniejących zwierzyńców należał park Skierniewicki, o którym szczegóły poniżej podane, zawdzięczam p. Władysławowi Majewskiemu, obecnemu Łowczemu skierniewickiemu, a w części pracy nieodżałowanej pamięci Aleksandra Rembowskiego, zatytułowanej: „Zwierzyniec Skierniew cki" (patrz *Kalendarz Myśliwski* B. Ronczewskiego z r. 1895).

Zarówno ś. p. Rembowski, jak i p. Majewski, nie mogli dociec, kiedy zwierzyniec skierniewicki założonym został. Pierwszą o nim wzmiankę znajdujemy w 1829 roku, kiedy to ukazem cesarza Mikołaja I-go z d. 20 maja (1 czerwca) nadane zostały Wielkiemu Księciu Konstantemu, tytułem darowizny na wieczną własność prywatną, majątki, stanowiące resztę dóbr, składających Księstwo Łowickie. Między innemi realnościami, znajdujemy tam zwierzyniec do hodowania grubego zwierza. Zwierzostan podówczas składał się z 38 jeleni, 23 danieli i 41 sarn. Znajdował się tam nadto ogrodzieniec na dziki, niema jednak żadnej pewności, czy zwierzęta te były tam przechowywane i w jakiej mianowicie ilości.

Od owego roku 1829 do 1880 mamy bardzo skąpe wiadomości o zwierzyńcu skierniewickim. W tym to, 1880 r., skasowano w nim sarny i nadal hodowano już tylko jelenie i daniele. Z zaprowadzeniem wspaniałego łowiectwa w S ale, około r. 1890 postanowiono znieść również i hodowlę jeleni w parku skierniewickim, i w tym celu zaczęto zwierzęta te odstrzeliwać tak, że zostało ich już tylko 17 sztuk, gdy w roku 1894 znany hodowca pruski, ks. Pless, nadesłał w darze 20 sztuk jelenia wapiti (*Cervus canadensis*), od których już w roku następnym dochowano się 11 sztuk młodych. Tym sposobem hodowla jeleni w Skierniewicach i nadal utrzymaną została.

Zwierzyniec Skierniewicki obejmował około 800 morgów przestrzeni, pokrytej przeważnie drzewostanem sosnowym ze znaczną domieszką dębu, brzozy i olchy. Liczne polany, łączki i dąbrowy urozmaicały ten piękny las, stanowiąc doskonałe żerowisko dla zwierzyny. Zimą, gdy naturalna pasza brakować poczynała, zadawano karmę, którą obliczano w stosunku 30 do 40 funtów owsa i 280 do 350 funtów wyborowego siana na każdą sztukę i na przeciąg całej zimy.

Stan danieli, który w 1829 r., jak widzieliśmy, wynosił 23 sztuki, wzrósł powoli i doszedł do swego maximum około 800 sztuk; średnio jednak wynosił mniej więcej 500 sztuk. Roczny odstrzał był obliczany w stosunku do sztuk istniejących i wynosił od 110 do 200 sztuk. Wybierano na ten cel przeważnie przychówek, a także bardzo stare samice i samce, w rzadkich zaś wypadkach wystrzeliwano byki-dwulatki. Odstrzeliwanie rozpoczynano w październiku i prowadzono aż do wybicia naznaczonej preliminarzem ilości sztuk. Polowano jedynie wytyczem, t. j. na podchodnego, lub z podjazdu. Najczęściej podchodzono zwierzynę przy paśnikach, lecz wtedy trzeba było strzelać bardzo uważnie, aby zabić tę sztukę, którą strzelec wskazywał, gdyż wśród gęsto zgromadzonej zwierzyny — zarówno danieli, jak i jeleni — niepożądana kula łatwo mogła zawadzić sztukę, bynajmniej do odstrzału niekwalifikującą się. Mięso zabitych danieli sprzedawano przekupniom, lub osobom prywatnym, w stosunku 10 kopiejek za funt żywej wagi (po wypatroszeniu). Waga bardzo grubych byków skierniewickich dochodziła do 200 funtów (wraz z paprochami), średnio jednak wynosiła około 120 funtów.

Widocznie klimat nasz sprzyjał hodowli danieli, gdyż przez cały czas istnienia zwierzyńca Skierniewickiego nie zdarzył się między nimi ani jeden wypadek chorób epidemicznych. Przeciwnie, zwierzyna ta mnożyła się normalnie, a odpowiednio karmiona, miała zawsze wygląd zdrowy.

Zwierzyniec Skierniewicki skasowany został ostatecznie w 1905 roku, zaczęto go już jednak rozgradzać roku poprzedniego. Tym sposobem istniał on z górą 80 lat. Daniele przed rozgrodzeniem wybito co do nogi.

Drugim, co do rozmiarów swych i czasu istnienia, był t. zw. zwierzyniec Kabacki w lesie Kabaty, należącym do dóbr Willanowskich. Dane, dotyczące tego parku, zaczerpnąłem z akt dóbr Willanowskich, które mi łaskawie udzielone zostały przez miejscową administracyę. Zwierzyniec Kabacki założony został w 1849

---

pogaństwa, mnóstwo ołtarzy i statui, poświęconych czczonej przez wszystkich myśliwych Dyanie. Św. Hubert burzył te ołtarze pogańskie i na ich miejscu urządzał kaplice chrześciańskie.

O kluczu cudownym św. Huberta, gojącym rany od ukąszenia wściekłych psów, legenda twierdzi, że został zesłany mu z Nieba. Klucz ten znajduje się jeszcze obecnie w kościele św. Piotra w Leodyum. Jest on długi na 373 mm. Rękojeść jego, którego średnica wynosi 82 mm., jest czworoboczną; powierzchnie są ozdobione podobiznami zwierząt i liści. Pozatem widnieje na nim obraz św. Piotra, trzymającego księgę w prawej ręce. Z drugiej strony jest figura Zbawiciela o głowie nimbem otoczonej, który prawą ręką błogosławi świat, a lewą trzyma na zamkniętej księdze życia.

O. Roberti, jezuita, pisze w dziełku, wydanem 1621 r., o tym kluczu, co następuje:

„Klucz św. Huberta stanowi cud wielki. Klucz ten jednakże nie służy do otwierania drzwi, lub do zamykania, lecz jako *pieczęć* lub pierścień do znaczenia zwierząt. Przypuszczam, że jest on nazwany kluczem dlatego, iż używa się pierścieni i kluczy do zapieczętowania niektórych naczyń domowych, jak to bywa u naczynia *lagena* (po łacinie lepiej *lagoena*, jest to naczynie o wązkiej szyi, dużym brzuchu i dwóch uchach, rodzaj urny). Klucz jest polerowany i okrągły, nie o wiele grubszy, niż bywa zwykle pióro łabędzie, a długi na jakie cztery dłonie. Jeden z końców klucza, starannie zaostrzony, wchodzi w rękojeść drewnianą, ułatwiającą ujęcie i ochraniającą rękę trzymającego, żeby się nie poparzyła. Z drugiego końca zaś widnieje rodzaj roga myśliwskiego, wielkości dwóch palców, z klubkami *(habenis)*; wszystko z żelaza, nawet sam „pieniek". Ten róg zatem, rozżarzony w ogniu do białości, przyciska się albo do rany zwierzęcia, gdy ona jest widoczna, albo do czoła, gdy nie jest widoczna. Mówię wszakże o ranie, którą zadał albo pies, albo inne zwierzę, *napadnięte przez wściekliznę. (Loquor autem de vulnere quod fecerit vel canis vel anima a iua rabie incitatum).* Lecz żebyś nie sądził, że ten klucz to zwyczajne, gołe żelazo, poświęca się go uprzednio przez oznaczone modlitwy i dotknięcie do świętej stuły. Zwraca się także na to uwagę, że jeśli rana jest otwarta, wypala się ją do żywego mięsa. Temu, tak przypalonemu zwierzęciu daje się zaraz chleb, owies lub inną karmę, również poświęconą słowem Bożem, co się stosuje dni dziewięć. Dotyczy to zatem zwierzęcia, okaleczonego już przez inne wściekłe zwierzę, cierpiące na wodowstręt *(Atque haec de animali jam ab alio rabido laeso).* Lecz można także na długo przed niebezpieczeństwem odwrócić je od zwierzęcia, gdyż będziesz prawdziwie dbał o swe zwierzęta, jeżeli zawczasu, kiedy im jeszcze nie grozi niebezpieczeństwo, przypalisz im czoło owem świętem żelazem i nakarmisz ową poświęconą karmą."

J. O.

(C. d. n.).

roku przez ówczesnego właściciela Willanowa, ś. p. Augusta hr. Potockiego. Obejmował on około 400 morgów starego lasu, przeważnie sosnowego, z dużą jednak domieszką dębu, a miejscami brzozy. W środku zwierzyńca wykopano sadzawkę długości 10, a szerokości 5 prętów, do której ściekała woda deszczowa przy pomocy umyślnie przekopanych rowów. Na początek wpuszczono do zwierzyńca 2 rogacze, 2 dziki (wycinka i lochę), 3 jelenie byki, 1 łanię, oraz 14 danieli (2 byki i 12 łań, z których jedna padła wkrótce po założeniu zwierzyńca). Daniele sprowadzone były z majątku Opinogóra generała Wincentego Krasińskiego, co nasuwa nam myśl, że majątek ten, położony w płockiej gubernii, posiadał również zwierzyniec, lecz o nim żadnych szczegółowych wiadomości nie posiadam. Sprowadzono też zwierzynę ze Skierniewic, zdaje się jednak, że nie daniele, gdyż etat z r. 1850 nie wskazuje na to. W tym to roku padły z niewiadomej przyczyny trzy danielice, natomiast przychówek wyniósł 6 sztuk. Daniele podczas zimy karmiono w stosunku pół garnca owsa i 5 funtów wyborowego siana na starą sztukę i dzień. Według etatu z końca 1852 r. było danieli sztuk 34, w 1853—50, w 1854—81. Według raportu z 3 maja 1861 r. wilki wyrządziły znaczną szkodę w zwierzyńcu Kabackim, zadusiły bowiem 22 daniele. Ludzie przepędzali dnia następnego cały park, lecz widziano tylko jednego wilka, do którego nawet strzelano. Nie wiadomo, czy było więcej drapieżników, które przez parkan uciekły, czy też ten jeden taką szkodę wyrządził. Nakazano jeszcze obławę ze stu ludzi, lecz o rezultacie tego polowania akta nie wspominają. Jak się zdaje, stan danieli doszedł swego kulminacyjnego punktu (pomimo tak znacznej straty) w tymże, 1861 r., kiedy w zwierzyńcu Kabackim liczono 277 sztuk (jednocześnie było tam 44 jelenie). Widocznie od tego czasu stan ich zaczął upadać, czy też odstrzał był nieproporcyonalny, gdyż w lutym 1868 r. było już tylko danieli 140 sztuk (26 byków i 114 łań) przyrost tego roku wyniósł 12 byków i 8 danielic, co podniosło stan danieli do 160 sztuk. W tym czasie (a może wcześniej) powzięto już myśl skasowania zwierzyńca. Jeszcze w kwietniu 1869 r. etat zwierzyńca wykazywał 79 sztuk (6 byków i 73 łań), a już po 1 lipca tegoż roku ubito z tego 67 sztuk (2 byki i 65 łań). Pozostałe 4 byki i 8 łań wypuszczono na wolność. Następnie spotyka się już tylko w aktach ślady skarg, jakie okoliczni włościanie (ze wsi Pyry) zanosili do administracyi na szkody, przez swobodnie włóczące się daniele zrządzane.

Tym sposobem zwierzyniec Kabacki istniał równe lat 20. W jaki sposób polowano w nim na daniele, akta nie wspominają, z poniżej jednak przytoczonego raportu wnosić można, że używano do tego naganek:

W d. 26 października 1867 r. odbyło się polowanie, na którem:

JW. hr. August Potocki zabił	1	daniela
JW. hr. Karol Zamoyski „	1	„
W-ny Niklas „	1	„
Leśniczy miejscowy „	6	„
Razem	9	danieli.

Jan Sztolcman.

(Dok. nast.).

O ustawie łowieckiej w Galicyi.

Jeden z wybitnych posłów galicyjskich, p. Jan Hupka, w „Czasie" krakowskim pomieścił artykuł o ustawie łowieckiej galicyjskiej, o której i my pisaliśmy niedawno. Głos p. Hupki, pełen kompetencyi i bezstronności, uważamy za stosowne podać w całości, rzuca on bowiem promień jasnego światła na kwestyę, z natury rzeczy dość zawiłą.

„Projekt ustawy łowieckiej, który wydział krajowy przedkłada, oparty jest przedewszystkiem na dwóch zasadach: na wartości gospodarczej zwierzyny łownej, którą przeto od zniszczenia chronić należy; z drugiej strony—na prawie każdego, domagania się i otrzymania w możliwie najkrótszym czasie zupełnego odszkodowania za szkody przez zwierzynę wyrządzone. Obowiązek odszkodowania wkłada projekt na dzierżawcę polowania, a w kwestyi odszkodowania za szkody, przez dziki zrobione, idzie dalej, niż ustawodawstwo jakiegokolwiek innego kraju w Austryi.

„W każdym razie projektowana ustawa łowiecka zbliża się w wielu punktach do wyrażanych często w tej Izbie życzeń, choć w wielu postanowieniach musi być wynikiem kompromisu dwóch sprzecznych kierunków i tendencyj".

Temi słowy określił marszałek krajowy przy zagajeniu sesyi sejmowej zapowiedziane przedłożenie wydziału krajowego z projektem ustawy łowieckiej.

Obecnie obowiązująca ustawa ma tę główną wadę, że nie zabezpiecza dostatecznie ani interesów poszkodowanych przez zwierzynę rolników, ani praw właścicieli i dzierżawców prawa polowania. Jest w swej połowiczności i nieszczerości pod tym względem bardzo nawet konsekwentną, a w wykonaniu występowały te jej ujemne strony, w sposób niejednokrotnie rażący.

Faktem jest, że na podstawie obecnej ustawy, poszkodowani przez dziki rolnicy nie mają, na ogół biorąc, możności dojścia do słusznego szkód tych wynagrodzenia. Wyjątki pod tym względem są, jak urzędowa statystyka wykazuje, bardzo nieliczne. Bo jeżeli w r. 1904 na 590 skarg o szkody przez dziki zrządzone, do starostw wniesionych, w 60 tylko wypadkach uznano odpowiedzialność uprawnionych do polowania, a wszystkie przyznane z tego tytułu wynagrodzenia w całym kraju, zaledwie niecałe półosma tysiąca koron wyniosły, to każdy obeznany ze stosunkami, przyznać musi, że po pierwsze liczba wniesionych skarg nie stoi w żadnym stosunku z liczbą istotnych wypadków szkody, gdyż w przekonaniu o bezowocności skarg, większa część poszkodowanych całkiem ich nie wnosi, po drugie liczba uznanych za odpowiedzialnych nie stoi w żadnym możliwym stosunku nawet do liczby skarg, a już suma przyznanych wynagrodzeń w rażącej jest dysproporcyi do rozmiarów i wartości olbrzymich rzeczywiście, wyrządzonych przez dziki szkód.

Kwestya dzicza jest więc w obecnych stosunkach powodem do słusznych żalów ludności rolniczej, jest bolączką, z której stanowczem i radykalnem uchyleniem zwlekać ani chwili nie należy, a to tem więcej, że polowanie na dziki za żadną, choćby najpodrzędniejszą gałąź gospodarczą nie może być uważanem, bo wartość zastrzelonego dzika jest mała, a szkody w polach ogromne. Polowania więc na dziki nie można inaczej traktować, jak za sport, za zabawkę. Mają, co prawda, obywatele kraju zupełne prawo żądać, aby i ich godziwe przyjemności, aby i ich zabawki były pod opieką ustaw; prawodawstwo krajowe jest niewątpliwie obowiązane nawet i rozrywki obywateli chronić, ale tylko o tyle, o ile rozrywki te nikomu szkody nie przynoszą, o ile nie są połączone z niczyją krzywdą. A więc takiego sportu, jak łowy na dziki, ustawodawstwo nie jest obowiązane chronić, lecz przeciwnie, należy do nowej ustawy wprowadzić takie postanowienia, by poszkodowanym przez dziki mogło być pełne wynagrodzenie szkód przyznawanem i w jaknajkrótszym czasie, nawet z wykluczeniem prawa rekursu do namiestnictwa,—wypłacanem, tak, by uprawnieni do wykony-

wania polowania musieli w swoim własnym interesie użyć wszelkich środków, by dziki (co wcale łatwem nie będzie), wytępić. Bo wielka chociażby przyjemność polowania na dziki nie jest wartą tego, by niezadowolenie wśród ludności włościańskiej utrzymywać, i by zbrodniczej agitacyi ułatwiać rolę, dostarczając choćby jednego, prawdziwego argumentu.

Podobnie, jak dziki, na wytępienie powinny być skazane jelenie w lasach nizinnych. Szkoda nie będzie wielka, nawet z punktu widzenia myśliwych, dla których strzał do marnego jelenia z nizin nie przedstawia ani w części tego uroku, co podchodzenie na rykowisku, w górach. Wystarczy tu jednak wyjąć jelenie w całym szeregu powiatów nizinnych z pod postanowień o czasie ochronnym, dla tej zwierzyny ustanowionym, i pozwolić je strzelać bez względu na płeć i wiek, o każdej porze, a już z pewnością sami właściciele lasów w interesie kultury lasowej i dla ochronienia się przed płaceniem wielkich niejednokrotnie odszkodowań, za szkody w polu zrządzone, zarządzą co potrzeba, by jelenie w równiach wytępić.

W odróżnieniu od słusznych skarg na dziki i jelenie w równiach, na niezrozumieniu rzeczy tylko oparte są skargi chłopów na „pańskie lisy, zjadające chłopskie kury". Włościanie nie zdają sobie sprawy z tego, że lis, który czasem do źle zaopatrzonego kurnika dostanie się i spustoszenie zrobi, że ten lis zjada po za tem tysiące myszy polnych, tej największej plagi rolnika, i przez to jest dla rolnika pożytecznym. Skoro jednak tak jest, to kompromis na tym punkcie jest najłatwiejszym, bo nie jest z pewnością rzeczą myśliwych, lisa, jako niszczyciela zwierzyny łownej, bronić. Większość myśliwych z pewnością hodowania lisów i urządzania lisich kniei nie pochwala, bo w ten sposób nigdy ani o większym stanie zajęcy, kuropatw, ani o rozmnażaniu bażantów nie będzie mogło być u nas mowy.

Większość myśliwych nie będzie z pewnością za tem, by lisa wolno było hodować bez obowiązku płacenia pełnych odszkodowań za drób włościański.

Z pomiędzy tych głośnych skarg włościańskich, które również na uwzględnienie zasługują, wymienić jeszcze należy skargi na strzelanie psów. Istotnie, choć bez wiedzy i woli uprawnionych do polowania, lecz najczęściej z winy strażników łowieckich, dzieją się na tym punkcie tu i owdzie drażniące włościan nadużycia. Strażnicy łowieccy, mając często przyznane strzałowe od psiego nosa, starają się dla powiększenia swych dochodów, zdobyć tych nosów jaknajwięcej i używają w tym celu często nielegalnych sposobów i podstępów.

Oto przeciwko takim nadużyciom personelu łowieckiego, nowa ustawa dać powinna najzupełniejszą ochronę, by słusznych żalów właścicieli psów na przyszłość uniknąć. Inaczej już jednak należy traktować skargi na szkody, zrządzone przez samą zwierzynę łowną, przez tę mianowicie, która jest podstawą łowiectwa, t. j. sarny i zające. O większych szkodach, przez tę zwierzynę zrządzonych, nie może być u nas mowy, z wyjątkiem tych nielicznych miejscowości, gdzie zwierzyna ta znacznie się rozmnożyła. Odpowiedzialność za szkody, przez tę zwierzynę zrządzone, powinna być tam tylko przez władze uznawaną, gdzie nadmierną rozmnożę tej zwierzyny i istnienie znaczniejszych szkód niewątpliwie da się stwierdzić.

Zwłaszcza co do zajęcy, to prawie nigdzie w kraju naszym niema ich tak dużo, aby o szkodach, przez nie zrządzonych, mogła być na seryo mowa, aby włościanie mieli uzasadnione powody do skarg na nie. W porównaniu z wysoko, pod względem kultury rolnej, stojącymi zachodnimi krajami monarchii, można mówić u nas raczej o zajęczej nędzy, bo na sto morgów zaledwie jeden zastrzelony zając u nas przypada. W Czechach, albo w Poznańskiem, wysoki stan zajęcy nie przeszkadza jakoś zupełnie wysokiej kulturze rolnej. A u nas mówi się tyle o szkodach w kapuście, której każdy włościanin po parę zagonów zaledwie sadzi i doskonale ją przed zającami zabezpieczyć może. Mówi się tyle o obgryzaniu szczepków w sadach włościańskich, choć przecie niewielką jest rzeczą naprawić płoty przed zimą, by się zając nie mógł dostać, lub powapnić, a względnie słomą poobwijać pieńki drzewek. Trudno przecie żądać, aby uprawnieni do wykonywania polowania mieli ponosić koszta niedbalstwa niektórych rolników.

Przechodzimy teraz z kolei do postulatów właścicieli i dzierżawców polowań, myśliwych.

Przedewszystkiem musimy wyrazić najgłębsze przekonanie, że niema między myśliwymi ani jednego, coby się sprzeciwiał wprowadzeniu takich postanowień ustawowych, aby wykonywanie prawa polowania nie mogło naruszać cudzej własności, aby zatem poszkodowanym przez zwierzynę lub polowanie zapewnić pełne wynagrodzenie szkody bez zwłok i bez żadnych wykrętów. Jesteśmy przekonani, że pod tym względem zgodzą się nasi myśliwi na wszelkie ustawowe gwarancye, na jaknajbardziej stanowcze i jasne postanowienia.

Ale wzamian za to mają myśliwi prawo żądać, aby i ich prawa, ich własność, ich rozrywka były i przez stanowcze postanowienia ustawy, i przez sumienne, a sprężyste tychże wykonywanie, należytą otoczone opieką. I tu należy szukać podstawy do zdrowego i słusznego kompromisu, t. j. takiego, coby interesa i prawa zarówno rolników, jak i myśliwych, równą otaczał ochroną. Przy wprowadzeniu należytej ochrony interesów rolników, chcą i uprawnieni do polowania mieć gwarancyę, że, czyniąc starania i wkłady dla ochrony i podniesienia stanu zwierzyny łownej w swych okręgach, nie będą ciągle narażeni na bezprawne i złośliwe niszczenie tego, co z wielkim często trudem i kosztem przez lata tworzyli. Żądać więc muszą zaostrzenia istniejących i wprowadzenia nowych postanowień przeciw kłusownictwu.

Jan Hupka.

W „Czasie" krakowskim znajdujemy depeszę ze Lwowa, że wydział krajowy złożył już sejmowi projekt nowej ustawy łowieckiej, opracowanej na podstawie materyału, jakiego dostarczyły na prośbę wydziału krajowego, starostwa, oraz na podstawie odbytej w r. 1906 ankiety. Główne zmiany postanowień obecnych są następujące:

Minimum obszaru, który uprawnia do samoistnego polowania, obniża nowa ustawa ze 115 hektarów na 60 hektarów, jeżeli te grunta składają się z ról, łąk i ogrodów. W ten sposób zwiększa się zastęp osób, w których interesie jest racyonalne prowadzenie gospodarstwa lasowego; samych bowiem tabularnych posiadłości z obszarem od 60 do 115 hektarów jest w Galicyi 789, a przeważna ich liczba nie ma lasów. Polowanie w okręgach polowania zbiorowego niekoniecznie, jak dotąd, potrzeba wydzierżawiać, lecz można ustanowić myśliwego. Czas ochrony dla sarn i łań niekoniecznie ma trwać, jak dotąd, przez cały rok, lecz tylko 10 miesięcy. Na polach obsianych i łąkach wolno polować konno tylko za zezwoleniem właścicieli gruntu. Posiadacz gruntu może w obrębie swego obejścia domowego używać przyrządów samochwytnych do tępienia szkodliwej zwierzyny. Uprawniony do polowania odpowiedzialnym jest za wszystkie szkody, zrządzone przez dziki, i ma regres do właściciela lasu, z którego dziki wyszły. Celem przyspieszenia postępowania w sprawie szkód, wyrządzonych przez polowanie lub przez zwierzynę, orzekanie w pierwszej instancyi powierza się kolegium, złożonemu z naczelnika gminy i dwóch asesorów, mianowanyyh przez władzę polityczną.

Ruja sarn.

W „Łowcu Polskim“ była poruszona kwestya rui sarn.

O ile wiem, kwestya ta za granicą do dziś dnia nie jest ostatecznie rozstrzygnięta.

Badania pod mikroskopem wykazały, że sarna jest już zapłodniona w miesiącu sierpniu. Czy jednak badania te są dokładne, trudno orzec, — myśliwi bowiem stanowczo utrzymują, że w lipcu i sierpniu jest tylko fałszywa ruja, prawdziwa zaś w listopadzie i grudniu.

Po poruszeniu tej kwestyi przez „Łowca Polskiego“ sądziłem, że rzecz ta zaciekawi ogół myśliwych, gdyż w istocie do niedawna, z powodu braku u nas pisma myśliwskiego, mogli nie wiedzieć, że jest kwestyą sporną.

Stało się jednak przeciwnie, nietylko nikt z myśliwych nie zajął się nią więcej, lecz i Redakcya nie zachęcała do robienia doświadczeń.

Poruszam ją jeszcze raz i odwołuję się do tych prawdziwych myśliwych, którzy nietylko strzelają zwierzynę, lecz i badają jej życie, a przedewszystkiem do panów nadleśnych, i mam nadzieję że z pewnością rzecz tę przeprowadzą z pożądaną ścisłością.

Chcąc doświadczenie to przeprowadzić dokładnie, wystarczy ogrodzić dwa kawałki mniej więcej morgowej wielkości, w każdym z nich umieścić po jednej sarnie (ktoby mógł, lepiej byłoby po dwie).

Do jednego oddziału wpuścić kozła w lipcu i przetrzymać go do końca sierpnia. Do drugiego oddziału wpuścić kozła w miesiącu listopadzie i przetrzymać go do końca grudnia. W maju wiedzieć będziemy, kiedy ruja odbyła się.

Gdyby jednak w obu oddziałach kozy nie były kotne, należy próbę powtórzyć w roku następnym.

S.

Nie poruszaliśmy tej kwestyi głównie dlatego, żeśmy ją uważali za wyczerpaną, bo naukowo rozstrzygniętą. Nie chcąc jednak, aby nas posądzano o trzymanie się uparcie swego zdania, zamieszczamy powyższą odezwę w nadziei, że znajdzie się jaki amator, który doświadczalnie kwestyę tę zechce rozstrzygnąć. Wątpimy jednak, aby proponowane doświadczenie udało się, gdyż większość zwierząt dzikich, trzymanych w ciasnem zamknięciu, traci zdolność rozmnażania się.

Redakcya.

Ostroga u fox-terrierów.

Bardzo wielu hodowców nie wie napewno, czy ostroga znamionuje wątpliwe pochodzenie u foxterrierów, lub nie? Na to pytanie odpowiada w jednem z ostatnich numerów *La Chasse Ilustrée*, znana powaga w kwestyi fox-terrierów, p. Sacc de Kouzmitch.

Ostroga u fox-terrierów nie stanowi bynajmniej znaku wątpliwego pochodzenia, niemniej jednak należy ją odciąć, a to z powodów, które wyłuszczę poniżej; jest ona nawet charakterystyczną dla potomków „Foiler'a“. Miałem w swem posiadaniu sukę, która w linii matczynej pochodziła z tej rodziny, a pokryta przez następujące psy: Lamy (od Welling-boro-Conqueror), Westfield Surprise (od Royal Freddy, syna szampiona Ropero-Nutcrack) i Raby Holdfast (od szampiona Matchmaker), dawała w każdym miocie szczeniaki, obdarzone tym dodatkiem.

Ostrogi należy usuwać dla różnych względów. Przedewszystkiem, z punktu widzenia estetycznego, ostroga bardzo szpeci psa. Jest ona zgoła nieużyteczną, a przeciwnie, może nawet szkodzić psu, gdyż bywa nieraz bardzo ostrą i zagiętą ku środkowi. Widziałem raz nawet pieska, który sobie sam odgryzł ostrogę, gdy ta zaczęła mu dokuczać. W trawach lub gąszczach ostroga łatwo może się zaczepić, a nawet oderwać.

Wszystkie te względy skłaniają nas do usuwania ostróg u fox-terrierów, co można uskutecznić z łatwością następującym sposobem, który wypróbowałem w ciągu lat wielu. Podał go były redaktor *Fox-Terrier Chronicles*, p. Harisson, w swem doskonałem dziele o hodowli fox-terrierów wystawowych. Gdy szczeniak ma mniej więcej trzy tygodnie, obcina się ostrogi przy pomocy bardzo ostrych nożyczek, tnąc od dołu ku górze i jaknajbliżej kości. Jeśli operacya jest wykonaną szybko i pieska natychmiast oddamy matce, nie potrzeba nawet ran smarować jakim środkiem antyseptycznym.

Ostroga jest zwykle przyczepiona tylko do skóry. Gdyby jednak łączyła się z jakiem ścięgnem, lepiej jest wtedy operacyę powierzyć weterynarzowi.

W czasie obecnym większość hodowców angielskich obcina ostrogi i na nogach przednich, na czem zyskuje ogólny wygląd psa.

Mój pierwszy słoń.

(Dokończenie).

Idziemy, śpiesząc, prawie dwie godziny; dochodzimy do miejsca, gdzie były słonie; widać pomiętą trawę, oberwane gałązki, ale słoni niema i Momby niema. Dążymy śladem. Słonie idą wprost w górę; po forsownym marszu od obozu, zaczynam tracić dech, nogi drżą pod kolanami, pot oczy zalewa, zrzucam kurtkę, zostaję w jednej koszuli i coraz dalej. M'kundi biegnie przodem i ciągle napędza. Iść szalenie trudno, góra wysoka, stroma, gąszcz taki, że przesunąć się nie można; jedyna droga — to ślad słoni; co chwila M'kundi nożem toruje przejście: tu zetnie gałąź, tam przerwie liany, owdzie znowu odrzuci wierzchołek bambusu, który drogę zagradza, i tak ciągle dalej, byle naprzód, byle prędzej. Kolce kaleczą ubranie, dobierają się do skóry, cała twarz i ręce pokrwawione, ale to nic, byle dalej, byle prędzej. Świeży pomiot, zatrzymujemy się na chwilę. Pomiot jeszcze ciepły, prawie paruje i obok ślady Momby. Jeszcze godzina takiego forsownego marszu ciągle w górę, raptem, naprzeciw nas, wybiega Momba z palcem na ustach. Odwraca się w tył i pokazuje na migi,— ot tu, ot niedaleko. Moi chłopcy zaczynają się gorączkować, oczy otwarte tak, że same białka widać; chcę biedz naprzód. Energicznym gestem chwytam pierwszego z nich za kark i przyciszonym szeptem wołam: „*rudzi*, *rudzi*“ (na zad!); pokazuję na migi, że wszyscy mają zostać. W ostatniej chwili decyduję się strzelać z mego ulubieńca, dubeltowego Mausera, a Hollanda cal. 450 oddaję Mombie. Posuwamy się jeszcze paręset kroków, przechodzimy zagłębienie i w tej chwili dolatuje do mego słuchu lekki trzask. Momba wytrzeszczonemi oczyma wpatruje się naprzód i mówi: „*tembo*“. Mnie serce zaczyna bić, jak młotem, ale nic

nie widzę. Momba wyrywa ze swej kołdry kilka włókien i puszcza. Wiatr dobry, trochę z boku od słoni na nas. Stajemy na czworakach i zaczynamy się posuwać. Słonie niedaleko, słychać trzask gałęzi i odgłosy, podobne do burczenia w żołądku. Jeszcze kilka kroków i widzę, jak na prawo odemnie, o 40 kroków, gwałtownie chwieje się wierzchołek krzaku. Przyglądam się,—nic nie mogę zobaczyć. Jeszcze parę kroków i nagle widzę przed sobą coś szarego. Instynktownie podnoszę strzelbę, ale Momba szepce: *„m'wanamke"*. Jak on to poznał, — nie mam pojęcia. Jeszcze trochę się posuwam na czystsze troszkę miejsce i widzę o 25 kroków odemnie z prawej strony, jak wąż ruchomy, trąba, pod nią para długich, białych kłów, nad nią małe oczki i dwa wachlarze uszu. Ale kły długie, cienkie, to nie może być samiec; jakoż Momba trąca mię i mówi *„left, left"*. Jakoż patrzę, o 20 kroków stoi duży, stary samiec; widocznie coś poczuł, trąba do góry, ogromne uszy wachlują i patrzy mi prosto w oczy, tak, prosto w oczy!... Serce we mnie zaczyna się tłuc, opieram się mocniej na rękach i czuję, jak mi w lewą rękę wbija się długi cierń, ale nie ruszam się, ani drgnę, ani powieką nie ruszam w strachu, by słoń nie zobaczył. Sztucer pod prawą leży ręką, a w duchu modlę się, żeby choć pięć, choć trzy sekundy słoń się odwrócił, bo inaczej strzelić nie zdążę. Trwało to kilka sekund, mnie się wydało, że z pół godziny. W tej chwili słoń zrobił poruszenie i stanął trochę z boku do mnie. Składam się i strzelam raz i drugi, jak do bekasa, prawie nie patrząc. Ryk straszny, rodzaj krzyku, rodzaj trąbienia, trzask łamanych gałęzi; okazało się, że druga samica z tyłu za nami była. Momba podsuwa mi drugi sztucer, a sam w nogi. Słoń po strzale jakby się zachwiał, ale w tejże chwili z okropnym impetem rzuca się naprzód. Na moje szczęście przebiega odemnie o krok jeden i w tej chwili pakuję mu dwie kule raz po raz z Hollanda. Przebiega jeszcze pięć czy sześć kroków i z trzaskiem, łamiąc krzaki pod sobą, pada...

Momba wyskakuje, jak szalony, w górę, na strzały przybiegają pozostali chłopcy i zaczyna się taniec nad zabitą sztuką. Ja siedzę na tem samem miejscu, skąd strzelałem, i czuję takie jakieś obezwładnienie, że się ruszyć nie mogę. W oczach kręgi, zamykam oczy i widzę znowu podniesioną wysoko trąbę, czerwoną, rozwartą paszczę, białe, błyszczące kły i te ogromne nogi, jakby tłoki jakiejś maszyny, miażdżące wszystko po drodze. Podchodzę do słonia, leży na boku, z tyłu koło ucha dwie małe dziurki i jedna większa w nodze. Znaczy, że pierwszych dwóch kul było zupełnie dosyć, bo z Hollanda spudłowałem raz, a druga kula w nodze bez znaczenia. Nie wiedzie mi się coś z *Corditem* *), przedtem spudłowałem nosorożca, który mię o mało na tamten świat nie wyprawił, teraz znowu słonia. Niema, jak mój mały Mauser; zrobiłem już z niego dubleta do nosorożcy, a teraz słonia. Stanowczo jestem zwolennikiem małego kalibru.

Nim się obejrzeliśmy, noc zapadła, a że do domu daleko i wściekła droga, więc postanawiamy przenocować na miejscu. Zimno i głodno, bo, pomimo że moim chłopcom mięso słonia bardzo smakowało, ja uznawałem, że są jednak lepsze rzeczy na świecie. Zmordowawszy więc kawałek języka, upieczonego na rożnie, rozpaliliśmy ogromne ognie i położyliśmy się spać. Teraz dopiero poczułem silny ból w ręce i przy świetle ognia wyciągnął mi Momba z dłoni cierń przeszło cal długi. Ogień trzaska, murzyni moi opakowują się mięsem, co chwila śmiejąc się i głośno, po raz dziesiąty, opowiadając sobie polowanie. Ogromna tusza słonia czernieje obok, a połyski płomienia, jak psotne chochliki, odbijają się od kłów, błyskają na lufach sztucera, wpadają w ciemną, czarną noc i giną. Mimowoli myśl się wstecz cofa do kraju, do swoich, do przeszłych polowań, do przyszłych trudów, i myśli się: Mój Boże! tyle świata człek objechał od sybirskiej tundry do równikowych upałów, od parków zachodniej Europy do bambusowych gajów Japonii, i zawsze coś go pcha, i zawsze coś go popędza i nigdy nie ma spokoju, zawsze czegoś chce, do czegoś dąży, za czemś się ugania, co niedościgłe, nieosiągnięte, nigdy w ręce ująć się nie daje!

Czesław Wańkowicz.

*) Cordit — bezdymny proch angielski. *(Przyp. Red.)*.

O pistoletach automatycznych
systemu Roth-Sauer.

Jedno z pism niemieckich, poświęconych sprawom myśliwskim, chwali bardzo nowe pistolety automatyczne systemu Roth-Sauer. Aczkolwiek nie zgadzamy się z tym poglądem w zupełności, przytaczamy jednak głos wybitnego znawcy broni, rzucający pewne światło na wady i zalety tego automatu.

W sprawie tej pisze tedy p. R. Wild-Queisner: W obecnej chwili nie odczuwamy już braku pistoletów automatycznych, a nowa broń nie wymagałaby oddzielnego opisu, gdyby nie wykazywała w całej swej konstrukcyi rozmaitych cech znamiennych, które ją wyróżniają silnie od innych, samodziałających broni palnych, ręcznych.

Pistolet, który produkuje fabryka broni „Sauer et Sohn" w Suhl, jest bronią odtylcową z ruchomą lufą i nieruchomem zamknięciem cylindrycznem. Masywne buksy przy zamknięciu służą za zasuwkę. Zamknięcie jest więc stałe, podczas gdy przy innych broniach automatycznych bywa odrzucane (suwane). Tego rodzaju zaryglowanie zamknięcia jest zupełnie nowe. Uniemożliwia ono oddzielenie się zamknięcia od lufy, dopóki pocisk jej nie opuścił; pozatem kamera zabezpieczoną jest od niepotrzebnego przepuszczenia gazów prochowych.

Pistolet systemu Roth-Sauer, w przeciwieństwie do pistoletu Browninga, nabija się za pomocą ramki, zaopatrzonej w 7 ładunków; one przeto nie mieszczą się w magazynie do nabijania, który się wkłada w rękojeść broni (jak w pistolecie Browninga), lecz przy nabiciu wysuwają się z ramki do kamery, podobnież jak przy karabinach magazynowych Mausera, nabijanych za pomocą takiejże ramki. Jeżeli gubimy taką ramkę nabojową i brak nam zapasowych, to wówczas jeszcze służy nam pistolet, jako jednostrzałowy.

Posługiwanie się tym pistoletem nie jest tak proste, jak innymi, automatycznymi rewolwerami, i niefachowcy muszą się tego dopiero uczyć specyalnie. Mechanizm jest bardziej skomplikowany, niż u Browninga. Nie jest to jednak zarzut, wymierzony przeciw pistoletowi. Do nowych broni trzeba się wogóle dopiero przyzwyczaić. W każdym razie dodaje się do nowych pistoletów bardzo wyczerpujący opis i wskazówki co do obchodzenia się, poglądowo objaśniające to przy pomocy licznych rysunków. Wymaga to jednak pewnej zręczności, żeby się prędko nauczyć koniecznych sposobów właściwego ujęcia za broń. Niefachowy w każdym razie dojdzie do wprawy o wiele prędzej, gdy w magazynie broni, gdzie nabędzie pistolet, każe sobie praktycznie wskazać sposób obchodzenia się z bronią.

Co się tyczy stosunku wielkości i wagi pistoletu systemu Roth-Sauer, to da się o tem powiedzieć, co następuje: Nową tę, samodziałającą broń palną, ręczną można wygodnie przechowywać w kieszeni. Waży 650 grammów, jest kalibru 7,65 mm., mieści 7

nabojów i leży przy strzelaniu bardzo wygodnie w ręku. Szybkość początkowa nabojów (0,18 g. prochu małodymnego i kula niklowa 4,7 gr. wagi, a 12 mm. długa) wynosi 320 m.

Czyszczenie pistoletu jest łatwe; nie potrzeba do tego osobnych przyrządów. Opis dołączony daje też co do tego dokładne wyjaśnienie. Przy całej konstrukcyi pistoletu jest właściwie zbyteczne osobne zabezpieczenie. Mimo to, urządzono je przy broni, żeby zadość uczynić wszelkim żądaniom.

W każdym razie, zanim zaczniemy nabywać te pistolety, warto zadać sobie niewielki trud i poznać gruntownie sposób obchodzenia się z pistoletem w teoryi, przed stosowaniem w praktyce. Trzeba jeszcze pamiętać, że cena pistoletu jest znacznie wyższa od ceny Browninga, i że pistolet ten na ogół nie doznał dobrego przyjęcia, a słabo bardzo się rozpowszechnia.

Z notatek naturalisty.

Przez

Wł. Czerniejewskiego.

Z Orenburga ruszyłem cwałem pocztowych szkap, jak to mówią, na złamanie karku, w stronę Aralskiego morza, by czemprędzej dotrzeć do Kazalinska, skąd dalszą ku południowi zamierzałem przedsięwziąć wyprawę. Czarnoziemne płaszczyzny Turgajskiego obwodu, to znów gliniaste, bezbrzeżne przestrzenie, dalej piasczyste wydmy kirgiskich stepów szybko przesuwały się na przemian przed mojemi oczyma, nie pozostawiając, prócz nudy, żadnych innych wrażeń po sobie. Po kilkunastodniowej, uciążliwej jeździe na rządowej teledze, stanąłem 1-go czerwca w Kazalinsku, a po zwiedzeniu łodzią ujść Syr-Daryi do Aralu, wziąłem się, bez straty czasu, do przygotowań do dalszej podróży. Z brzaskiem d. 10-go czerwca wystąpiłem na czele mej małej karawany, złożonej z dwóch skrzypiących arb w trzy zaprzężone wielbłądy i kilku ludzi, tubylców; ruszyłem w kierunku południowym, ku fortecy Petro-Aleksandrowskiej, na wschodnim brzegu Chiwińskiego chanatu położonej.

Nie dość fortunnie rozpoczęliśmy nasz pochód, telegi okazały się nie zupełnie przydatnemi do takiej drogi, wielbłądy przy przejściu każdego pagórka znarawiały się i nawet pod groźbą kija odmawiały posłuszeństwa, tak, że już na 15 wiorście musiałem zatrzymać tabor, przystąpić do jego poprawy i dać wypocząć odwykłym od pochodów zwierzętom. Następnego dnia w 15-godzinnym marszu przeszliśmy z górą 50 wiorst, pozostawiwszy za sobą daleko żyzne doliny Syr-Daryi, a piękne i urocze ogrody i laski dawno nam znikły w mglistej dali. Przechodzimy stopniowo do kraju pustego i głuchego, rzadko tylko natrafiamy na oddzielne grupy jakichś wyschłych roślin, niekiedy jakiś niekształtny szkielet karłowatego drzewa zagradza nam drogę, stojący tu samotnie, jak nadgrobek zanikłej wegetacyi tych stepów.

Nie mam zamiaru dręczyć łaskawego czytelnika zbytnim opisem mych kłopotów, wynikłych z nieoględnego zaopatrzenia mej karawany w odpowiednią żywność i wodę, ani chcę uskarżać się przed nim na dokuczający mi upał 44 stopni, ani na morską chorobę, wywołaną kołyszącym się ruchem wielbłąda; wszystko to przeniosłem cierpliwie, w nadziei pięknych i obfitych polowań w krainach dzikich puszcz, pełnych różnorodnego zwierza; a wiele swobodnego czasu, spory zapas amunicyi i doskonała broń rokowały mi bogate zbiory i trofea.

Ale oto i piaszczysta pustynia Kizyl-Kum, czyli Kizil-tax. Początkowo pojedyńcze zaspy żółtawego piasku, dalej większe ich kupy i liczniejsze grupy, wreszcie cała pustynia pofałdowana i pomięta staje się podobną do zamarłych fal zburzonego morza, a ich ostre grzbiety, ustawicznie pod naciskiem wiatrów dymiące, robią wrażenie ruchomych bałwanów, pieniących i szamocących się, a im silniej poruszane przez wichry, tem więcej kurzą i dymią, przesypując się z niesłychaną szybkością z miejsca na miejsce, i tam, gdzie wczoraj wznosił się jeszcze wysoki barhan (kopiec), dziś głęboki dół powstaje, jutro znów na nim piękny wyrasta pagórek. Tak z wieku na wiek przesypując się i posuwając, te ruchome, piaszczyste pustynie z niepohamowaną siłą niszczą wszystko w swym pochodzie; tak znikły niegdyś kwitnące oazy tej krainy, zasypane zostały osady i ludzkie miasta, a sławny gród z swych pięknych futer-karakuł, dziś leży zagrzebany pod grubą warstwą piaszczystą. Biada podróżnemu, któryby choć dla chwilowego wypoczynku chciał się podczas uraganu tu zatrzymać; znajdzie niechybnie swój grób wśród tych, niegościnnych stepów. Szczęściem burze tu zaczynają się późnym rankiem, trwają dzień cały, a ku wieczorowi przycichają zupełnie; cisza grobowa, ciemność iście egipska zalegają wówczas tę krainę. Dziko, smutno i strasznie tu wówczas. Nie trudno tu zbłądzić wśród tych, niezliczonych pagórków, zasp i dołów.

16 czerwca, znudzony powolnością posuwania się swej karawany, biorę fuzyę i wyprzedzam ją o jakie 200 kroków. Niebawem zoczyłem jakieś zwierzątko, do naszego susła podobne, a chcąc koniecznie dostać jego skórkę do kolekcyi, ruszam za nim. Suseł *(Spermophilus leptodactylus)* szybko znikał mi za barhanami i do strzału dogodnego nie dawał sposobności; podążałem więc dalej za nim, przyczem straciłem świadomość kierunku.

Po kwadransie ubiegania się daremnego, powracam do swej karawany, lecz po licznem wspinaniu się na barhany, strzelaninie i nawoływaniu przez kilka godzin, odnaleźć jej nie mogłem i bez wątpienia przepadłbym w tem piaszczystem morzu, gdyby przezorny przewodnik karawany nie przyszedł mi z pomocą, stawiając na wysokim pagórku wielbłąda. Szedłem w przeciwnym kierunku i byłem już daleko od swych ludzi.

(C. d. n.)

Myślistwo w Japonii.

(Odczyt, który wygłosił niedawno w niektórych europejskich klubach myśliwskich dr. Juliusz Scriba, profesor chirurgii w Tokio).

(Ciąg dalszy).

Przystępując do omówienia zwierzyny sierciowej, wymienię najprzód japońskie małpy, *Inuus speciosus.* (Nazwy łacińskie podano według manuskryptu japońskiego). Japonia to kraj, który, stosunkowo do swego położenia geograficznego, jest zimniejszy, niż kraje na zachodniej części półkuli pod tym samym stopniem szerokości. Tak np. Tokio leży na stopniu szerokości Algieru, a ma klimat umiarkowany. W zimie panuje niekiedy temperatura 10 stopni Celsyusza niżej zera; na zachodzie Japonii spada nawet często grubą warstwą śnieg, który leży przez całą zimę. Te różnorodne warunki klimatyczne pochodzą stąd, że zimny wiatr przychodzi z Azyi, ze stepów chińskich i syberyjskich, podczas gdy w Algierze wieje z gorącej Sahary.

Małpa przebywa nawet na północy, gdzie w zimie leży śnieg nader grubą warstwą. Jest to bardzo tam ulubione zwierzę, spotyka się często i chętnie je strzelają i jedzą. W Indyach ubiłem raz jeden małpę, która, postrzelona, płakała, jak małe dziecko; od tego czasu nie mogę się nigdy odważyć na strzelanie do małpy.

Następnie zwierzynę łowną stanowią niedźwiedzie, których są cztery różne gatunki. Bywałem wielokrotnie na polowaniach na niedźwiedzie, ale ani razu nie ubiłem żadnego, mimo że jest ich w Japonii dosyć dużo. Jeden gatunek to *Ursus japonicus*; jest on długi na $1-1\frac{1}{2}$ m. i wysoki na 0,5—0,7 m. Jest względnie nieszkodliwy dla człowieka, żywi się owocami, wskutek czego wyrządza szkody w sadach i ogrodach. Latem przebywa w górach; gdy śnieg opadnie, schodzi z nich, a wtedy chłopi zwykle go wytropią w jaskini i urządzają polowanie, barykadując wyjścia kratami i t. p., poczem podpalają jedno z wyjść. Niedźwiedź chce wtedy się wydostać i napotyka przeszkodę w postaci barykad. Chłopi rzucają się nań z długimi oszczepami japońskimi. Jest to metoda myśliwska, zupełnie bezpieczna, lecz niezbyt piękna.

O wiele gorsze są niedźwiedzie na Jesso i wyspach Kurylskich; tutaj przebywa dość licznie *Ursus arctos*, niedźwiedź brunatny, *Ursus ferox*, niedźwiedź grisli, a na zupełnie północnych wyspach także *Ursus maritimus*, niedźwiedź polarny. Przez jakie cztery tygodnie tropiłem niedźwiedzia *Ursus ferox*, widziałem często jego świeże tropy, ale nie ubiłem żadnego. W czasie wędrowania łososiów do tarcia się, niedźwiedzie siadają na piaszczystem wybrzeżu, gdzie znać odciski łap i ud tylnych, a przedniemi łapami łowią łososie. Niedźwiedzie te, długie do 2 m., są też bardzo niebezpieczne dla człowieka. Częstokroć rozdzierają konie, które w Japonii zimową porą mają bardzo małą wartość i błąkają się nawpół dziko, bo nikt ich nie karmi.

Dalej należy do zwierząt łownych borsuk, *Meles Anakuma*, który różni się nieco od europejskiego i ma dodatkową nazwę japońską *Anakuma*. Lis jest podobny do europejskiego; na wyspach Kurylskich są lisy czarne i pstre, których skóra ma wielką wartość.

Do lisa przywiązane są w Japonii różne legendy. Mówią, że potrafi myśliwego zaczarować, zwabić do siebie i zamordować. Niekiedy przemienia się w postać pięknej dziewczyny, wabiącej młodzieńca. Reprodukują tam obraz, przedstawiający lisa, który przy świetle księżyca przegląda się w wodzie i wyprawia przed nią pląsy, a w wodzie odbija się lis z twarzą pięknej dziewczyny. Inny obraz przedstawia myśliwego, który nastawił pułapkę na lisa obok swej budki; lis to spostrzegł i umieścił w pułapce worek złota; myśliwy, uszczęśliwiony, chce je wydostać i sam się chwyta w żelaza. Kobiety, zjadłszy ozór lisa—twierdzi legenda—, przestają być złośliwe i gadatliwe.

Wilka są w Japonii dwa gatunki, rzadszy *Canis lupus* i rodzaj psa *Canis hodophylax*. Dwa razy widziałem, jak prześladował jelenia, który ze strachu wpadł do zagrody ludzkiej i upadł na dworze, złamawszy nogę.

Innym gatunkiem zwierzęcia łownego, nieznanym w Europie, jest pies-szop. Różni się też od szopa amerykańskiego, choć przypomina go na pierwszy rzut oka; nazywa się Tanuki, a po łacinie *Nyctereutes viverrinus*. Przebywa prawie wyłącznie w Japonii, ma głowę podobną do borsuczej, jest szaro-brunatny, posiada futro bardzo ładne, a waży od 30 do 35 funtów. Nogi są podobne do lisich; nie przebywa jednak w norze, a często wdrapuje się na drzewo po owoce. I o nim krążą różne legendy, ponieważ wrzeszczy, jak małe dziecko. Głos jego rozlega się wieczorem po lesie, bardzo żałośliwy. O Tanuki mówią, że zaczarowywa wyłącznie kobiety.

Kun jest wielka ilość; jedna ma barwę żółtej siarki, *Mustela melampus*; inna dorównywa wielkością kunie szlachetnej; inna znowu jest trochę mniejsza i ma ubarwienie czerwone, *M. Itachi*. W Gezo znajdują się także gronostaje, *M. brachyura*.

Z innych zwierząt łownych spotykamy jeszcze zająca odmiennego gatunku, niż europejski, *Lepus brachyurus*. Przebywa w krzakach, jest mniejszy od zająca europejskiego, a w zimie bieleje, jak zające alpejskie.

Dziki są również w Japonii, *Sus leucomystax*, ale nie są tak duże, jak odyńce europejskie. Polowanie na dziki jest bardzo uciążliwe, ponieważ uprawia się tylko w górach. Trzeba wynająć 20 do 30 naganiaczy, którzy tropią zwierzę z psami, przyczem musi być jeszcze ze 20 strzelców, bo inaczej bywa bezskuteczne.

Jeleń japoński, *Cervus Shika*, jest trochę mniejszy od europejskiego daniela, ale posiada rogi potężne.

Antylopa, *Antilope crispa*, przebywa na wyżynach górskich; strzela się ją tylko w zimie, ponieważ latem nie można się zbliżyć. Jest to tęgie zwierzę, z długim włosem, wygląda prawie jak koza, i ma zupełnie proste rogi.

Do zwierząt sierciowych łownych w Japonii należy w końcu zaliczyć foki, konie morskie i wydry, które często się strzela w tym kraju.

Streścił *K* z.

(C. d. n.)

Łowienie kaczek w Chinach.

(Z francuskiego).

Podczas mojej podróży eksploracyjnej po Chinach środkowych, pomiędzy rzeką Czerwoną a rzeką Błękitną, miałem sposobność używać najrozmaitszych i najwspanialszych polowań: srebrzyste bażanty, kuropatwy, zające, dziki, jelenie, tygrysy i pantery obfitują w samej rzeczy w Państwie Niebieskiem. Słyszałem też mnóstwo nadzwyczajnych opowiadań myśliwskich, ale przyznam się szczerze, że ten rodzaj polowania, jakiego mi się udało spróbować w okolicach Shangai, zadziwi niejednego z moich czytelników.

Pewnego razu kazałem się zawieźć w „sampanie“ (łódź chińska) o godzinę drogi od Shangai, w stronę Usongu, gdzie znajdowanie się licznych jeziorek dawało nadzieję znakomitego polowania, gdyż od kaczek na rzece Shangai, aż się roi; nigdym się jednak nie spodziewał tego, co mi się zdarzyło. Przybywszy na miejsce, poszedłem po szarem błocie kleistem, wzdłuż wysokich traw, gdy naraz spostrzegłem rozciągniętego nieruchomo na brzuchu, długiego i cienkiego chińczyka. Zbliżyłem się, aby go ocucić, jeżeli tylko był czas po temu, i trąciłem go nogą, aby się przekonać, czy jeszcze żyje. Jakież było moje zdziwienie, gdy człowiek zerwał się na równe nogi i dał mi znak milczenia, przykładając palec do swych ust, a następnie zwrócił znacząco oczy ku niebu. Byłem wtedy przekonany, że mam do czynienia z waryatem. Zwracając jednak oczy w kierunku jego wzroku, spostrzegłem w samej rzeczy na tle nieba, w znacznej odległości, czarny jakiś punkt, który okazał się stadem ptaków. Chińczyk wziął mnie za rękę, błagał, abym położył strzelbę i sam się rozciągnął na brzuchu. Ptaki zbliżyły się; było to wielkie stado kaczek. Niecierpliwiłem się, leżąc tak w niewygodnej pozycyi i nie wiedząc wcale, do czego zmierza cały ten manewr. Człowiek ten trzymał

w prawej ręce pełno cienkich, ale mocnych sznurków, podobnych do wędek, a tymczasem na wodzie, w odległości 15 metrów. maleńkie żabki rzucały się po jej powierzchni. Cóż on tu łowi, pomyślałem sobie, kiedy tu niema ryb? Kaczki tymczasem nadciągnęły nad nasze głowy; nie ruszałem się, lecz ptaki poleciały dalej. Chińczyk mój zabronił mi wstawać, więc pozostałem na miejscu, zaciekawiony, co z tego będzie. Kaczki zatoczyły koło i rzuciły się na żabki. Wtedy Chińczyk zerwał się na równe nogi i począł śmiać się radośnie. Pociągnął swe sznurki, a wtedy spostrzegłem, że na 12 wędek wzięło się 12 kaczek: żabki stanowiły zanętę na 12 haczykach. Zapłaciłem po 20 centów za kaczkę, miałem więc 12 kaczek za 2 dollary, poczem wróciłem z tryumfem do domu, niosąc moją zdobycz.

W Paryżu wyda się to kaczką Marsylską*). Zjadłem je i przekonałem się, że były to w samej rzeczy kaczki chińskie.

Paweł Comby.

HODOWCA W MARCU.

Najważniejszą rzeczą, o której hodowca zwierzyny powinien pamiętać w marcu, jest urządzenie lizawek. Zwłaszcza w roku bieżącym, po dość ostrej i śnieżnej zimie, sprawa to pierwszorzędna. Jest to jedyny sposób zapobiegania różnym chorobom, grożącym zwierzynie na początku wiosny. Narządy trawienia są bowiem osłabione wskutek żerowania zimowego, a przeto nie mogą same zwalczyć zarodków choroby, o ile hodowca nie dostarcza dostatecznego zapasu soli, która przyśpiesza proces przemiany materyi. Jelenie zrzucają obecnie rogi, a wytwarzanie nowych wymaga też więcej sił żywotnych, które pobudza sól. Sarnom, jako jeszcze słabszym, grozi zapalenie płuc i choroba wątrobiana. Należy więc, oprócz lizawek, dostarczyć jeszcze zdrowej karmy.

W marcu zaczynają też powracać z ciepłych krajów niektóre drapieżniki. W rewirach rozlega się już rano krzyk ptaków drapieżnych, które unoszą się wysoko w przestworzu. Drapieżniki te przeważnie są leniwe i nie chcą budować nowego gniazda, a przeto szukają zeszłorocznych pieleszy. Hodowca powinien więc podczas spacerów po kniei uważnie śledzić, gdzie krążą owe ptaki, i szukać gniazd na wierzchołkach drzew starych. A teraz, wobec tego, że niema jeszcze liści, odnalezienie gniazd jest łatwiejsze.

Dobrze jest zawczasu urządzić zasłonę i dostać się do niej po cichu nad ranem, by stamtąd obserwować gniazda i strzelać ich mieszkańców. Naturalną osłonę stanowią krzaki jałowca. Ścieżki do podchodzenia trzeba uprzątać, usuwając gałęzie, konary i kamienie. Im wcześniej wytępimy drapieżniki w gnieździe, tem mniej wyrządzać będą szkód między drobną zwierzyną w czasie lęgu.

Mniej wprawni strzelcy powinni czekać, aż młode, z braku miejsca w gnieździe, usiądą na pobliskiej gałęzi; wtedy, po odstrzeleniu starych, mogą się oni wprawiać w strzelanie do młodych. Myśliwy powinien już przy zblaknięciu gwiazd nad ranem udać się pod zasłonę. Jeszcze bowiem przed wschodem słońca stare opuszczają gniazdo. Pierwszy zawsze się pokazuje samczyk; jeżeli nam się uda go ubić, to przedewszystkiem zabieramy zdobycz, a potem należy siedzieć bez ruchu pod osłoną, aż starka, po ostrożnem krążeniu nad gniazdem, zapadnie na nie, by się dostać do piskląt; wtedy najłatwiej ją ubić.

Budowa zasłony jest w marcu bardzo ważnem zajęciem dla myśliwego, zwłaszcza jeżeli ma w rewirze cietrzewie. Dalej myśleć trzeba o obronie kaczek marcowych przed drapieżnikami, ustawiając żelaza i pułapki w pobliżu wód na polach, gdzie zwykle siadają ptaki drapieżne, w celu zbadania terenu. Również ustawiać należy żelaza w pobliżu bażantarni i wolier, w których przebywają kuropatwy; najlepsze są w tym celu t. zw. kosze gołębie.

W końcu marca bażanty-kury zaczynają już znosić jaja. Wrogiem ich śmiertelnym są kuny, tchórze, łasice i wiewiórki, wielkie amatorki jaj. Trzeba pamiętać jaja te zabierać bażantom-kurom, by potem dać je indyczkom do wysiadywania.

J.

*) Znaczy się „biegą". (Przyp. Hóm.).

Z Towarzystwa prawidłowego myślistwa.

Zebranie Ogólne, 6 marca. Pierwsze tegoroczne Zebranie Ogólne Członków Rzeczywistych Oddziału, przewidywane przez ustawę, w celu dokonania wyboru Członków Komisyi Rewizyjnej odbyło się w d. 6 marca, pod przewodnictwem p. Blumentala.

Przy sposobności załatwiono różne inne sprawy Towarzystwa, wymagające decyzyi Ogólnego Zebrania, a mianowicie:

Wybrano pana Feliksa Rożyńskiego na stałego Członka naszego Oddziału. Pan R. znany jest w szerokich kołach naszych łowieckich, jako wyborny i zamiłowany hodowca i myśliwy, przeto odznaczenie to słusznie mu się należało.

Firmie „Dyana" w Skierniewicach, wyrabiającej karmę dla psów i zwierzyny, przyznano tytuł dostawcy Oddziału. Pierwsza to w kraju naszym fabryka tego rodzaju i choćby dlatego już należy jej się poparcie, a zasługuje ona na nie tem więcej, że dobroć jej produktów stwierdzona została na ostatniej wystawie psów, które chętnie spożywały wyrabiane przez nią suchary.

Postanowiono również, w myśl wniosku Rady, odnieść się do Głównego Towarzystwa o ustanowieniu w Warszawskim Oddziale stanowiska Wice-prezesa, nieprzewidywanego w ustawie. Oddział nasz jednak jest tak liczny w porównaniu ze wszystkimi innymi, że utworzenie tego stanowiska uznane zostało za pożądane.

Rezultaty dokonanych wyborów są następujące:

Do Komisyi rewizyjnej powołano pp.: na Członków: Wł. Jacobsona, F. Bortnowskiego i Jana Mętlewicza; na Zastępców: Wł. Lasockiego i Ant. Miernowskiego.

Do Delegacyi Wyborczej wybrano pp.: na Członków: Jana Sztolcmana, Ant. Fabiana, d-ra Henr. Dziedzickiego, Wład. Jacobsona, Al. Patzera, Szellera, Awenariusa, d-ra Ant. Rostkowskiego; na Zastępców: Gustawa Handtke i St. Dziechcińskiego.

Kronika myśliwska.

(Prosimy Szan. Czytelników naszych o nadsyłanie wiadomości do tej rubryki).

W styczniu r. b., u Zdzisława hr. Zamoyskiego, w lasach dóbr Jadów-Łochów-Kołodzież, gub. siedleckiej, pow. węgrowskim, odbyło się 6 mniejszych polowań z nagonką, na których w 6 i 8 strzelb zabito: 2 dziki, 3 ko-

zły, 1 lisa, 684 zajęcy i 10 kuropatw, czyli ogółem 700 sztuk.

W Śmirowicach, na Kujawach, u p. Findeisena odbyło się w styczniu polowanie w 12 strzelb, na którem zabito 132 zające i 2 kuropatwy. Królem był p. K. Witkowski, mając na rozkładzie 37 zajęcy.

Wykazy myśliwskie.

W Austryi, nie licząc krajów, należących do korony węgierskiej, ubito w r. 1903.

Zwierzyny użytecznej: 24,366 jeleni, 2,843 danieli, 117,830 sarn, 10,484 gemz, 4,963 dzików, 1,666,811 zajęcy, 143,394 królików, 993 świstaków, 6,671 głuszców, 11,810 cietrzewi, 12,008 jarząbków, 1,836 pardw, 3,247 kuropatw skalnych, 318,896 bażantów, 1,480,660 kuropatw, 51,863 przepiórek, 33,014 słonek, 12,515 bekasów, 1,632 dzikich gęsi, 60,248 kaczek.

Szkodników: 28 niedźwiedzi, 82 wilki, 36 rysiów, 40,125 lisów, 18,376 kun, 64,225 łasic, 32,667 tchórzy, 1,135 wyder, 115 żbików, 5,708 borsuków, 229,212 wiewiórek, 751 orłów, 938 puhaczy, 11,113 jastrzębi i krogulców, 481,514 wron i srok. Zatem suma szkodników wynosi 886,025 sztuk, użytecznej zwierzyny 3,854,783 sztuki. Ogółem 4,740,808 sztuk.

Z tego przypada na Czechy prawie każdego gatunku najwięcej. Większość tylko niedźwiedzi, wilków i rysiów ubito w Galicyi i na Bukowinie. Większość lisów w Galicyi (9,792), większość kun na Morawach (5,821), większość łasic w Czechach (28,783), większość tchórzy w Czechach (13,747), większość wyder w Galicyi (342) i Czechach (221), większość żbików w Bukowinie (50), większość borsuków w Austryi niższej (965), większość orłów w Galicyi (460). Obszar lasów nie zmienił się znacznie; zmniejszył się tylko w Galicyi, zwiększył w krajach alpejskich.

Z żałobnej karty.

W Kołdyczewie, w pow. nowogródzkim, gub. mińskiej, w d. 19-ym lutego rozstał się z tym światem ś. p. **Stanisław Rewieński**, niegdyś właściciel ziemski, później publicysta, dziennikarz i pisarz myśliwy.

Ś. p. Rewieński urodził się w Nowogródzkiem w r. 1842 i po ukończeniu nauk uczęszczał na „kameralia" w uniwersytecie dorpackim, a następnie osiadł na roli w majątku ojczystym Piotrowicze. Skutkiem klęsk w gospodarstwie i wypadków roku 1863, musiał sprzedać majątek własny i żony i przeniósł się do Warszawy.

Wybitny znawca gospodarstwa wiejskiego, a zwłaszcza hodowli koni, pisywał artykuły z tej dziedziny do „Gazety rolniczej" i „Korespondenta", a następnie do „Encyklopedyi rolniczej". Z prac większych napisał ś. p. Rewieński: „Królestwo zwierząt" podług Brehma, oraz myśliwskie prace oryginalne: „Pies" i „Przewodnik dla myśliwych". Była to ostatnia jego praca, wydana w r. 1903.

Drobiazgi myśliwskie.

Za kłusownictwo. Z rozporządzenia tymczasowego generał-gubernatora wojennego skazany został Jan Klepacz z Kłobucka za posiadanie broni myśliwskiej i polowanie na cudzych gruntach na 3 miesiące więzienia, oraz wysiedlenie się po za granice Królestwa Polskiego. Ostatnia kara została przesłana do konfirmacyi warszawskiego generał-gubernatora.

Zaraza na zające. Na Kujawach zauważono, że z nieznanej przyczyny padają zające w tak znacznej liczbie, jakiej najstarsi ludzie nie pamiętają. Badaniem przyczyny tego zjawiska zajął się weterynarz we Włocławku.

Żubr-szkodnik. W majątku Kraski p. Tadeusza Siehenia, położonym w pow. wołkowyskim, gub. grodzieńskiej, w niewielkiej odległości od Puszczy Białowieskiej, osiedlił się od dłuższego czasu stary żubr-byk, czyniąc w okolicy nieustanne szkody. Szczególniej upodobał sobie kopiec z kartoflami, który rozrzucał, przyczyniając tem niemałe szkody. P. Siehen kilkakrotnie podawał prośbę o pozwolenie zabicia tego rabusia, aż w końcu przyszło Najwyższe na to zezwolenie. Urządzono obławę, podczas której żubr wyszedł na p. Siehenia. Ciężko raniony obu kulami, zwierz poszedł jeszcze, ale go dogoniono i zabito. P. Siehen kazał sobie na pamiątkę wypchać całego zwierza.

Piękne polowanie na słonki miał w swym majątku Ashford (Anglia) — lord Ardilaun. Przez sześć dni, poczynając od 26 stycznia r. b., zabito u niego w 6 strzelb, polując nagankami, 443 słonki, nie licząc innej zwierzyny; z tego na dzień 26-go wypada 143 słonek. W polowaniu brali udział pp. earl of Portsmouth, earl of Bandon, lord Castlemaine, sir Charles Barrington, Mr. Percy La Touche i major Aucland Hood. Pogoda była piękna, z wyjątkiem bardzo wietrznych dwóch dni.

Eksploratorki myśliwe. Tygodnik londyński „Penny Illustrated" zamieścił portrety kobiet, które zasłużyły się na polu eksploracyi krajów nieznanych. A więc znajdujemy podobiznę Amerykanki, pani Chemuskian, zamieszkałej w Tyflisie. Zwiedziła ona i opisała Georgię, Armenię, Ziemię kozaków dońskich, całe pobrzeże Wołgi, Dagestan i mało znany kraj, leżący pomiędzy Mosul a Teheranem. Pani Chemuskian strzela, jak najwytrawniejszy myśliwy.

Gdy w zeszłym roku, w listopadzie, z dwiema towarzyszkami podróży została napadnięta przez bandytów, położyła trupem trzech, — jak się potem okazało: były to kobiety w męskiem przebraniu. Hrabina Mordwinow czuje się bardziej „u siebie" w Nowej Zemli i na Waigaczu, niż w salonach Moskwy lub Petersburga. Mało eksploratorów mężczyzn przebyło tyle mil, co ona. Na jesieni r. z. powróciła z wyprawy nad morze Karskie. Zeksplorowała niezamieszkane wyspy Oceanu Arktycznego. Jest znakomitym myśliwym i rybołówcą. Pani Marya Paylarian, Amerykanka, przebyła wzdłuż pustynię Libijską, zwiedziła Arabię i opisywała barwnie swe przygody w najgorętszych strefach świata. Signora Ines Christina, Hiszpanka, zeksplorowała Abisynię i zasłynęła tam ze swej odwagi.

Odnalezienie zbrodniarza przy pomocy psa. Policya w Lubece zaprowadziła niedawno interesującą nowość. Oto używa do tropienia zbrodniarzy specyalnie w tym celu tresowanych psów. Nowość ta, którą przyjęto zrazu z niedowierzaniem, okazała się w praktyce bardzo pomocną. Pisma niemieckie przynoszą właśnie wiadomość o przypadku, w którym przy pomocy psa udało się istotnie odkryć zbrodniarza. W jednym z hotelów w Lubece wybuchnął w nocy pożar, który, jak się okazało, był podłożony. Poszukiwania, zarządzone natychmiast przez policyę,

przyniosły tylko ten skutek, że natrafiono na ślady stóp ludzkich w śniegu obok hotelu. Sprowadzono więc psa policyjnego i kazano mu tropić. Pies pobiegł, obwąchując pozostałe na śniegu ślady; dostawszy się do miejsca, gdzie się one kończyły, wrócił z powrotem tą samą drogą do hotelu i tutaj, obwąchawszy wszystkich obecnych, zatrzymał się przy jednym z kelnerów. Powtórzono jeszcze dwukrotnie doświadczenie, i zawsze z tym samym skutkiem. To utwierdziło policyę w przekonaniu, że podpalaczem jest ów kelner. I tak było istotnie. Kelner, wzięty w krzyżowy ogień pytań, przyznał się do popełnienia zbrodni; podając zarazem, że popchnęła go do niej zemsta za doznaną od właściciela krzywdę.

Oryginalne kłusownictwo. Z Gniezna piszą do „Posener Tageblatt": Kilku chłopców, z których jeden miał strzelbę, urządzało zeszłej jesieni wyprawy myśliwskie na pola kartoflane i rzepowe między Dalkami a Dziekanką, w pobliżu toru kolejowego, gdzie gnieździło się wiele stadek kuropatw. Wszakże broń palna nie dała chłopcom dodatnich wyników. Stwierdzili oni tylko, że zrywające się licznie kuropatwy kierują swój lot zawsze ku drutom telegraficznym nad torem kolejowym, przyczem tak się o nie rozbijają, że dają się potem chwytać łatwo. Urządzili więc formalne obławy, często z dużym skutkiem, pędząc zawsze kuropatwy z jednego pola na drugie przez druty telegraficzne i tor kolejowy. Przywódca małych kłusowników, Ludwik Kaczmarek, złowił raz przed południem sam jeden pięć kuropatw, pędząc je w powyższy sposób przez tor i druty. Martwe sztuki przyniósł do domu. Policya się o tem dowiedziała i pociągnęła do odpowiedzialności pięciu kłusowników w wieku lat 10 do 15.

Środek przeciw lisom. Szczególnego środka użył pewien właściciel folwarku w Niemczech na odstraszenie lisów. Oto umocował kogutowi dzwonek u szyi, z którym tenże przechadzał się dumnie wśród ciągłego podzwaniania, pomiędzy kurami. Środek ten oryginalny miał się okazać znakomitym, bo od tego czasu nie pokazał się żaden lis i ani jedno kurczątko nie padło ofiarą tego rabusia. Dzwonek ten odstrasza również łasice, tchórze, kuny i innych wrogów drobiu.

Zjedzony przez wilki. W dusanowskim lesie, pow. przemyślańskiego, w Galicyi, znaleziono czapkę, szczątki ubrań, buty i stopę z przedudziem w butach, jakiegoś nieszczęśliwca, według pogłosek, przez wilki zjedzonego. Bardziej prawdopodobnem jest, że człowiek ten musiał zamarznąć, poczem stał się łupem kruków i lisów.

Rewolucya i łosie. W Kurlandyi, wskutek działania gromad rewolucyjnych, jak piszą gazety miejscowe, zmniejszyła się strasznie liczba łosi. W wielkim rewirze pod Dorpatem, jak stwierdzono, zastrzelono przeszło 80 sztuk tej zwierzyny, wskutek czego gmina skazana została na zapłacenie 5,000 rb. kary. Zastrzelili łosie rewolucyoniści, wałęsający się po lasach. W tymże rewirze, oprócz 80 sztuk martwych stwierdzono zanik około 100 sztuk łosi, które, postrzelone, wywędrowały prawdopodobnie stamtąd. W innych rewirach działy się podobne rzeczy. Teraz trzeba będzie czekać dziesiątki lat, zanim stan łosi w Kurlandyi powróci do dawnej liczby sztuk.

Kongres myśliwski we Włoszech. Niedawno odbył się w Medyolanie zjazd myśliwych ze wszystkich stron Włoch zjednoczonych, którzy zajęli się uregulowaniem wielu kwestyj łowieckich. Głównym przedmiotem obrad było wprowadzenie i przestrzeganie ścisłych przepisów ochronnych i wszelkich innych praw, mających na celu zapobieganie wytępieniu zwierzyny; jest nadzieja, że teraz, gdy początek już jest zrobiony, zwierzostany włoskie nie będą już tak marne, jak dotąd. Pierwszym czynem kongresu było utworzenie funduszu, przeznaczonego na nagrody dla gorliwych urzędników, czuwających nad prawem ochrony zwierzyny.

Polowanie u księcia Hohenlohego. Z Budapesztu donoszą, że w d. 9 lutego arcyksiążę Fryderyk i jego małżonka, arcyksiężna Izabella, bawiąc w Łomnicach tatrzańskich, uczestniczyli w polowaniu u księcia Hohenlohego w Jaworzynie. Na tem polowaniu, zarówno arcyksiążę, jak jego małżonka, ubili po jednym turze kaukaskim. Jest to rzadki wypadek myśliwski w Europie.

W Alzacyi i Lotaryngii istnieje 49 leśnictw, w których ubito w r. 1904 zwierzyny użytecznej: 211 jeleni (w roku poprzednim 232), 599 sarn (679), 2,153 zające (1,800), 10 głuszców (10), 38 cietrzewi i jarząbków (35), 209 bażantów (160). Ze szkodników wytępiono: 1,532 dziki (1,376), 1,952 lisy (1,955), 64 żbiki (90). Wilków w ostatnich latach wcale nie było. Za dzierżawę jednego hektaru lasu wypada w Alzacyi górnej 1,00 marka, w dolnej 0,80 m., a w Lotaryngii 1,34 m.

Myślistwo w Prusach. W r. 1904 w lasach rządowych, nie licząc zwierzyny złowionej w żelaza, ubito 4 łosie, 7,101 jeleni, 3,844 danieli, 15,286 sarn, 2,242 dzików, 106 głuszców, 162 cietrzewie, 61 jarząbków, 405 bażantów, 5 łabędzi, 910 kuropatw, 9 błotnego ptactwa, 6 dropi i 2,865 zajęcy. Szczegółów statystycznych o szkodnikach niema. Wartość zwierzyny upolowanej wynosi brutto 471,196 marek 10 fenigów, a netto 397,266,12 marek. Za dzierżawę uzyskano 148,071,74 m. Znamienny jest szczegół, że przed 20 laty wartość ubitej zwierzyny wynosiła w Prusach tylko około 12 milionów marek.

Gemzy dla Nowej Zelandyi. Kapitan fregaty, Ludwik v. Hoehnel z krzyżownika „Panther", jak donosi „Neue Freie Presse", zawiadomił inspekcyę menażeryi w Schoenbrunnie, że rząd nowozelandzki uchwalił ofiarować i przysłać do menażeryi cesarza austryackiego żywe zwierzęta z rzadkich okazów fauny tej wyspy, jak kiwisy, gryzonie różne i t. d. Jednocześnie rząd wyraził życzenie otrzymania żywych gemz alpejskich, w celu zaaklimatyzowania w górach nowozelandzkich, okazów z Alp środkowych, Pirenejów, Karpat i Kaukazu. Wymiana została chętnie przyjęta. Z polecenia Franciszka Józefa złowiono młode egzemplarze w rewirach Neuberg, Soisern i Ebensee, razem 2 kozły i 6 kóz. Stały one parę miesięcy w tej ostatniej miejscowości, gdzie przyzwyczajono zwierzęta powoli do suchego siana z łąk górskich, tłuczonego owsa, jęczmienia i sztucznej karmy, gdyż tem miało się je karmić w drodze, podczas podróży morskiej przez Londyn do przylądka Dobrej Nadziei. Dla transportu zbudowano specyalne klatki. Podróż morska trwa 46 dni. Jedzie ze zwierzętami główny inspektor menażeryi, Kraus, aż do Londynu, gdzie zabierze oczekujące tam zwierzęta nowozelandzkie do Wiednia. Menażerya cesarska wzbogaci się niezwykłymi okazami. Wyjazd z gemzami ze stacyi kolejowej Passau nastąpił 14 stycznia r. b. Udano się z niemi *via* Ostenda najprzód do Londynu, a stąd przez Kapstat do miejsca przeznaczenia.

„Trust" myśliwski w Kanadzie. Nawet w dziedzinie sportu tworzą Amerykanie „trusty". Powstał tam mianowicie syndykat, do którego należy około 100 najbogatszych ludzi. Wydzierżawili 1,700,000 akrów ziemi nad rzeką Tobique, przeznaczając około 200,000 rubli na zaprowadzenie koniecznych urządzeń i wygód dla myśliwych. Budowniczy Findley wybuduje wspaniały klub olbrzymi, kosztem 100,000 rb. W rewirach tych znajduje się mnóstwo łosi, karibu, niedźwiedzi i jeleni; niektóre łosie, tam zabite, ważyły przeszło 1,000 funtów.

Strzelanie do gołębi.

(Monte Carlo).

Grand Prix du Casino, największy konkurs w strzelaniu do gołębi, rozegrany został w d. 4, 5 i 7 lutego przy bardzo pięknej pogodzie i lekkim wietrze. Gołębie sprowadzone były z Anglii i odznaczały się niezwykłą lotnością, co utrudniało niezmiernie strzały. Do konkursu stanęło 154 strzelców, t. j. o 21 mniej, aniżeli roku zeszłego, natomiast klasa ich była na ogół o wiele lepszą. Połowę prawie, bo 70, stanowili Włosi, którzy w tym roku stanęli prawie w komplecie, mając na czele pp. Guidicini'ego, zwycięzcę z lat: 1886, 1890 i 1893, oraz p. H. Graselli, który zdobył pierwszą nagrodę w latach: 1905 i 1906. Anglicy stanęli wprawdzie mniej licznie, ale pomiędzy nimi znaleźli się pierwszorzędni strzelcy, jak pp. Roberts, Thelluson, Carroll, Fraser, Erskine, Hall i inni. Ostatni z nich, p. Hall, tegoroczny zwycięzca *Grand Prix du Casino*, znanym już był z lat poprzednich na mecie w Monte-Carlo, lecz, jak dotychczas, nie wykazał odpowiedniej klasy, aby tak trudną konkurencyę zwalczyć. Dodamy jeszcze, że nagrodę pierwszą, oprócz znacznej sumy pieniężnej, stanowił wspaniały, srebrny i pozłacany *(en vermeil)* serwis do herbaty.

Pierwszą nagrodę zdobył p. Hall. Anglik, który jeden tylko ze wszystkich konkurujących zabił 12 gołębi z rzędu. Otrzymał on pokaźną sumę 25,875 fr., oraz wspomniany serwis do herbaty.

Po jednym gołębiu z 12 strzelanych chybili pp. H. F. Roberts, signor Interdonato, hr. Trauttmansdorf i signor Schianini (zwycięzca z 1904 r.). Przy rozstrzeliwaniu po 2 z rzędu gołębi zabili pp. Roberts i Interdonato, którzy też podzielili się drugą i trzecią nagrodą w ogólnej sumie 20,125 fr. Pozostali dwaj, a mianowicie pp. hr. Trauttmansdorf i Schianini podzielili się 4-tą nagrodą (5.660 fr.).

Podajemy poniżej wykaz zdobywców 1-ej nagrody w Grand Prix du Casino od chwili ufundowania tego konkursu w 1872 r.

1872. Mr. G. L. Lorillard (Stany Zjednoczone).
1873. Mr. J. Lee (Anglia).
1874. Sir William Call (Anglia).
1875. Kap. Aubrey Patton (Anglia).
1876. Kap. Aubrey Patton (Anglia).
1877. Mr. W. Arundel Yeo (Anglia).
1878. Mr. H. Cholmondeley Pennel (Anglia).
1879. Mr. E. R. G. Hopwood (Anglia).
1880. Hr. M. Esterhazy (Węgry).
1881. M. G. Camaner (Belgia).
1882. Hr. de St. Quintin (Francya).
1883. Mr. H. J. Roberts (Anglia).
1884. Hr. de Caserta (Włochy).
1885. M. L. de Dorlodot (Belgia).
1886. Signor Guidicini (Włochy).
1887. Hr. Saline (Włochy).
1888. Mr. C. Seaton (Anglia).
1889. Mr. Valentine Dicks (Anglia).
1890. Signor Guidicini (Włochy).
1891. Hr. L. Gajoli (Włochy).
1892. Hr. Trauttmansdorf (Austrya).
1893. Signor Guidicini (Włochy).
1894. Hr. Zichy (Austrya).
1895. Signor Benvenuti (Włochy).
1896. M. H. Journu (Francya).
1897. Signor G. Grasselli (Włochy).
1898. Mr. Curling (Anglia).
1899. M. R. Moncorgé (Francya).
1900. Hr. O'Brien (Hiszpania).
1901. M. Guyot (Francya).
1902. Signor H. Grasselli (Włochy).
1903. Mr. Pellier-Johnson (Anglia).
1904. Signor Schianini (Włochy).
1905. Signor H. Grasselli (Włochy).
1906. Signor H. Grasselli (Włochy).
1907. Mr. Hall (Anglia).

Z powyższego wykazu widać, że Anglicy zdobyli tę nagrodę 13 razy, Włosi — 12, Francuzi — 4, Austryacy — 3, Belgijczycy — 2, Yankeesi i Hiszpanie — po 1 razie.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Panu Ronisławowi. Rzecz znana powszechnie i pozbawiona wszelkiej aktualności, do oceny już dziś się nie nadaje.

Panu St. Sokołowskiemu. Nadesłanego rękopisu drukować nie będziemy.

Panu St. Konopnickiemu. O kółku myśliwskiem w Nowo-Radomsku nie mamy żadnych wiadomości.

Treść Nr. 6 „Łowca Polskiego".

Prenumerata **„Łowca Polskiego"** wynosi:

W Warszawie: rocznie 6 rub., półrocznie 3 rub., kwartalnie 1 rb. 50 kop. (z odnoszeniem do domu).

Z przesyłką pocztową: rocznie 7 rub., półrocznie 3 rub. 50 kop., kwartalnie 1 rub. 75 kop.

Zagranicą: rocznie 10 guld., albo 16 marek, albo 20 franków; półrocznie 5 guld., albo 8 marek, albo 10 fran.

Pojedyńczy numer **„Łowca Polskiego"** 30 kop.

Ogłoszenia za wiersz drobnego pisma (petitu) lub jego miejsce 10 kop.

„Łowca Polskiego" prenumerować można: w Kantorze Administracyi **„Łowca Polskiego"** Ś-to Krzyzka 36, w Kancelaryi Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa, Nowy-Świat 35, oraz we wszystkich księgarniach w Warszawie i na prowincyi.

Listy do **„Łowca Polskiego"** adresować należy:
Smolna 40, w Warszawie.

Redakcya „Łowca Polskiego“ uprasza kwartalnych prenumeratorów. o szybkie odnowienie przedpłaty na kwartał II-gi, dla uniknięcia przerwy w odbieraniu pisma.

Redaktor i wydawca Jan Sztolcman. Druk „Drukarni Polskiej“ (L. Straszewicza). Warszawa, Jasna 2.